

---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom-Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

W przyszłości podobny monograficzny numer naszego pisma chcemy przeznaczyć na opisanie losów polskich dzieci na zesłaniu. Wiemy też z napływającej do redakcji korespondencji, że z artykułów publikowanych na łamach „Zesłańca” korzystają uczniowie oraz nauczyciele historii, uważając publikowane w nim teksty za ważny materiał uzupełniający podręczniki szkolne.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków, pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące zesłań Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

\*

### RELACJA Z DOMIESZKĄ SARKAZMU

W zbiorach Instytutu Polskiego i Muzeum gen. W. Sikorskiego (kolekcja 138, t. 288) znajduje się relacja opatrzona numerem 11631. Jej autorką jest Anna Urbanowicz, uczennica, ochotniczka. Niestety, wiadomo o niej tylko tyle, co można wywnioskować z niniejszego tekstu. Sądzę, że była córką oficera rezerwy, przed wojną administratora podwarszawskiego majątku. W kwietniu 1940 roku razem z matką, bratem, babcią Stanisławą oraz ciocią z synem, została zatrzymana przy nielegalnym przechodzeniu przez granicę w rejonie Ostrowi Mazowieckiej. Ciekawą postacią była babcia, prawdopodobnie mieszkająca w Białymstoku (w województwie białostockim?), żona zmarłego wcześniej majstra włókienniczego (osadnika?) pochodzenia niemieckiego o nazwisku Goltshall. Po krótkim pobycie w zaimprovizowanym areszcie w Lubotyniu Anna i jej babcia zostały przewiezione do Szepietowa, tam przeprowadzono wstępne śledztwo i uwolniono S. Goltshall. Natomiast Annę Urbanowicz dowieziono wagonem do więzienia w Białymstoku.

Znamy już sporo relacji z tego miejsca przekłętego przez ofiary NKWD i potem Gestapo. Relacja jednak Anny zawiera kilka oryginalnych informacji i ocen z życia więźniarek. Autorka obiektywnie opisała zachowanie funkcjonariuszy, także w tym przypadku zdobyła się na drwiny. Prawdopodobnie otrzymała wyrok 5 lat pobytu w łagrze. Nie opisała drogi na wschód. Wiadomo jedynie, że trafiła do Nowego Koksynu w Kazachstanie. Ten obóz dopiero powstawał, więźniarki zatrudniono przy sypaniu wałów kanałów nawadniających. Sławomir Kalbarczyk w wykazie łagrów sowieckich uwzględnił dane z relacji A. Urbanowskiej, ale nie korzystał z niej bezpośrednio, a poprzez książkę: S. Mora, P. Zwierniak (K. Zamorski, S. Starzewski), *Sprawiedliwość sowiecka*, Włochy 1945.

Dane z łagru nie zasługują na miano rewelacyjnych, są jednak ciekawe, zawierają bowiem interesujące zdarzenia. I w tym przypadku autorka nie stroni od sarkazmu, zwłaszcza przy charakterystyce osób. Warto też zwrócić uwagę na proces wymuszonego przystosowywania się łagierniczek do barbarzyńskich warunków bytu i pracy.

W sumie relacja to warta poznania w całości. Mam nadzieję, że dzięki Czytelnikom uda się uzupełnić dane o autorce, a jeszcze cenniejsze byłyby inne wspomnienia o łagrze Nowy Koksyn.

*Adam Czesław Dobroński*

\*

### Aresztowanie

Dnia 19 czerwca 1940 r. zostałam aresztowana w okolicy Szepietowa<sup>1</sup> na linii Zambrów – Ostrów-Mazowiecki za chęć przedostania się do Warszawy. Miałam wówczas zaledwie ukończone lat 17-cie. Fama głosiła, że na granicy aresztują tylko ludzi w wieku od 18 do 60-ciu, z wyjątkiem matek z małymi dziećmi. Czy rzeczywiście istniała taka ustawa – nie wiem. Stwierdzam tylko, że przebywałam w zamknięciu z moją matką i bratem dwuletnim przez tydzień.

Ze strażnicy nadgranicznej, gdzie nas aresztowano, zostaliśmy przewiezieni autem do Lubiatyna.<sup>2</sup> Na auto wsadzono kilkanaście osób. Byli tam mężczyźni w sile wieku, kobiety z małeńkimi dziećmi, młodzi chłopcy lat 16-17 i naturalnie nieodstępni wartownicy z karabinami. Była to pora popołudniowa, chmury zwisały ciężko nad horyzontem, ludzie jadący na aucie mieli myśli równie szare jak niebo. Paru młodych optymistów stwierdziło, że przewożą nas tylko dla załatwienia pewnych formalności, i że odzyskamy wolność po przyjeździe na miejsce. Ale inni, bardziej doświadczeni i mniej różowo spoglądający na świat, snuli jak najczarniejsze horoskopy.

Nagle auto stanęło. Z kabinki wyskoczył żołnierz z karabinem. Na pobliskim wzgórzu majaczyła druga taka sama szara postać, również z bronią w ręku. Rozległ się strzał. Ktoś szepnął: – „Przywieźli nas na to pustkowie i pewnie zaraz rozstrzelają!”. Moja matka kurczowo przycisnęła brata do piersi i tylko zbielejącymi ze strachu ustami rzuciła mi słowa: – „Módl się!” Za chwilę roz-

<sup>1</sup> Prawdopodobnie chodzi o Szumowo.

<sup>2</sup> Poprawnie: Lubotynia, obecnie siedziba władz gminnych w pow. Ostrów Mazowiecka, woj. mazowieckie.

legł się drugi strzał. Sytuacja stawała się napięta do niemożliwości. Staralam się robić wesołą minę i tłumaczyłam mamie, że to przecież niemożliwe, żeby bez powodu zabito tyle ludzi. Ale grobowe miny *strielków* nie wróżyły nic dobrego. Wreszcie auto ruszyło. Właściwie nic się nie stało. Ale przez tych parę chwil przeżyliśmy więcej, niż przez miesiąc normalnego życia.

Po przyjeździe do Lubiatory [Lubotynia] znowu czekały nas jakieś formalności. Znowu pytania o imię, nazwisko, *otczestwo*, rok urodzenia, stan cywilny, miejsce pochodzenia, zawód, o wszystkich przodków aż do prababki, wliczając w to stryjów i kuzynów, itd. Mimo to jesteśmy dobrej myśli, tym bardziej, że służąca miejscowego *komandira* przyniosła memu braciszce mleko. Strażnik w tej chwili odwrócił się i udał, iż nie widzi, że dziewczyna zbliża się do aresztowanych i dzięki temu biedne dziecko, które od tygodnia żyło wodą i sucharkami, mogło się trochę pokrzepić. Aż mu oczka pojaśniały z zadowolenia. Za chwilę posłyszaliśmy kroki za drzwiami.

Ciekawe było, jak wyglądało nasze więzienie – była to zwykła wiejska chata jednoizbowa z sienią. Sień ta zastępowała korytarz więzienny i tam właśnie rezydował strażnik. Izba była podzielona deskami na dwie części: w jednej siedzieli mężczyźni, w drugiej kobiety i dzieci. Mimo, iż była to polska chata, okna już zasłonięto na sposób sowiecki wielkimi kawałkami dykty tak, że chociaż powietrze wpadało do środka, nie można było nic widzieć, co się działo na zewnątrz. Szyb naturalnie brakło, ale doskonale zastępowały je żelazne kraty. Jedynym oknem na świat był mały otwór w drzwiach, przez który, jeżeli strażnik nie był bardzo zły i zostawił drzwi od sieni otwarte, można było widzieć kawałek podwórza i parę promieni słonecznych. A z drugiej strony głowę towarzysza niedoli wyglądającego taką samą dziurą z męskiej przegrody.

Podłoga w izbie była drewniana i położywszy na niej koc można było spać. Poza to rozwalony piec był doskonałą imitacją stołu. Rozrywek towarzyskich też nie brakło w tym apartamencie: jeżeli nawet strażnik w przypływie złości zamknął otwór w drzwiach, można było przez dziury między deskami przyglądać się, co robią mężczyźni za przegrodą. Co prawda zajęcia ich były mało ciekawe, gdyż poza małymi wyjątkami siedzieli bez ruchu i dumali nad swoim losem. Właśnie przez szparę między deskami podawałam list naszemu przewodnikowi, kiedy usłyszałam zgrzyt klucza w drzwiach. Pomyślałam, że na pewno jakieś nowe pytania, a może... może wolność...

Do izby wszedł *komandir* i oznajmił nam: – *A nu, ženszyny biez dietiej, sobirajties* (kobiety bez dzieci zbierajcie się). Minę miał dumną i złą, i tak właśnie wyobrażałam sobie gestapowca. Trzasnął drzwiami i wyszedł nie słuchając wcale mojej mamy, która starała się coś mu tłumaczyć. Ponieważ żadna z nas, oprócz babki staruszki lat 65, nie uważała się za *ženszczynu biez dietiej*, bo mama była z braciszkiem, ciotka też z synem, a ja też uważałam się jeszcze za dziecko, nie zrobiłyśmy żadnych przygotowań do wyjazdu. Za parę minut znowu zjawił się *komandir* i tym razem już wyraźnie oświadczył: – *Goltshall Stanisława Josipowna (moja babka) i Urbanowicz Anna Edmundowna z wieszczami wychaditje*. Mama rzuciła się do niego chcąc prosić i błagać, żeby nie rozdzielał jej z córką. Za całą odpowiedź otrzymała pogardliwe spojrzenie i drugie trzaśnięcie drzwiami.

Zrozumiałam, że nie ma rady i muszę jechać. Czem prędzej zarzuciłam na siebie drugą sukienkę i futerko, żeby chociaż cokolwiek mieć przy sobie i chciałam się żegnać z matką, kiedy zobaczyłam rzecz straszną. Mama moja chwyciła szklanę z wodą, wrzuciła tam pastylkę sublimatu i już, już podnosiła do ust... Wyrwałam matce truciznę i rzuciłam szklanę o ziemię. Nie miałam już czasu, więc tylko błagałam ciotkę, żeby opiekowała się moją mateńką. Drzwi się otworzyły i znowu usłyszaliśmy głos: – *A nu, wychoditje po bystriej* (to *po bystriej* miało mnie już ścigać, aż do amnestii). Zrobiłam krok ku drzwiom. Matka rzuciła się ku mnie, z jakąś szaleńczą siłą chwyciła mnie w objęcia i nie chciała puścić

Ale twarde ręce strażników sprawiedliwości były silniejsze niż uścisk matczyny. Popchnięto mnie w stronę drzwi. Rzuciłam ostatnie spojrzenie w głąb izby. Zobaczyłam matkę zemdloną u progu i poza nią przerażone oczy mego małego braciszka, niebieskie dziecinne oczęta, które zamiast słońca i radości musiały oglądać ból i rozpacz.

Nie płakałam. Czułam się, jak człowiek uderzony obuchem po głowie. Rok temu straciłam ojca i dom rodzinny, a teraz zabrano mi to, co miałam jeszcze najdroższego – matkę i brata. Nie płakałam. Ale wtedy po raz pierwszy poczułam, co to jest nienawiść.

### Wstępne śledztwo

Następnym etapem był Szepietów.<sup>3</sup> Warunki mieszkaniowe były tam o tyle lepsze, że tym razem więzienie stanowił garaż. W drzwiach kraty były na odmianę drewniane. Można było przez nie wyglądać na podwórko. Co prawda, jeżeli było tam coś do oglądania, to drzwi zamykane i trzeba było się dusić bez powietrza. Jedyłą ciekawą rzeczą, którą zauważyłam przez tę kratę była jakaś „sowietka” w plihalowskiej koszuli zamiast sukienki. Okna nie były zasłonięte, ale za to były bardzo maleńkie (30 cm x 40) i na wysokości półtora metra. Podłoga z betonu była pokryta (o radości) słomą. Niestety, przy bliższym zetknięciu się słoma ta była mniej przyjemna. Tu po raz pierwszy w życiu spotkałam się z wszami, całe szczęście że na razie z daleka.

Życie w garażu było bardziej urozmaicone niż w Lubiatynie [Lubotyń]. Przed wszystkim było nas więcej, około 30-40 kobiet. Towarzystwo było b. różne, zaczynając od zwykłych przemytniczek, do tzw. przestępców politycznych. Spory odsetek stanowili Żydzi tzw. *bieżeńcy*, którzy od gnębiciela Hitlera uciekli do *towarzystwej*. Towarzysze przyjęli ich zaiste bardzo gościnnie: otrzymali od razu mieszkanie i wikt, i na dodatek zbrojną opiekę. Mimo to wielu aresztowanych nie wierzyło, żeby mogło im się naprawdę przytrafić coś złego, pobyt swój w lokalu zamkniętym traktowali raczej jako przygodę.

Tu właśnie odbyło się moje pierwsze prawdziwe śledztwo, gdyż wszelkie poprzednie moje spotkania z władzami NKWD były raczej spisywaniem personaliów. Tym razem wyglądało to trochę inaczej. Wprowadzono mnie do małego pokoiku. Umeblowanie jego stanowił jedyny stolik i dwa krzesła. Po zatłoczonym garażu wydawał się on dziwnie pusty. Powiodłam wzrokiem po ścianach. Wisiał tam tylko jeden afisz przedstawiający jakąś czarną diabelską rękę z sepi-

<sup>3</sup> Szepietowo, osada i stacja kolejowa, obecnie w pow. Wysokie Mazowieckie, woj. podlaskie.

mi szponami, napis obok głosił, że NKWD dzielnie broni ojczyzny i wylapuje szpiegów. Co to wszystko miało znaczyć trudno pojąć, w każdym razie nastrój był taki, aby jak najbardziej zdezorientować badanego i przestraszyć go.

Po chwili wszedł śledczy. Był to wysoki brunet, porządnie ubrany. Nie miał w sobie ani jednej cechy słowiańskiej, jego hita i niemieckie sztylpy<sup>4</sup> przypominały raczej członka SS. Po paru wstępnych pytaniach o imię, nazwisko, itd. śledczy przystąpił do rzeczy: mówił z początku spokojnie i starał się mnie przekonać, że mój ojciec był polskim oficerem, a co za tym idzie wrogiem narodu sowieckiego. Ja wiedziałam o tem o wiele lepiej od niego, ale mimo to również spokojnie zaczęłam mu tłumaczyć, że ojciec mój był tylko biednym rządcą w jakimś tam majątku pod Warszawą. Wówczas rozpoczął się ogień krzyżowych pytań. Musiałam opowiadać co chwilę co innego; to pyta się mnie, jak ma na imię mój dziadek, a zaraz potem, gdzie mieszkałam przed przekroczeniem granicy, a potem gdzie pracował mój tata, a potem *da capo* [od początku] czy to prawda, że mój ojciec był polskim oficerem.

Całe szczęście, że śledczy mówił po rosyjsku i jeżeli nie wiedziałam co odpowiedzieć na dane pytanie, mogłam udać, że nie rozumiem o co chodzi, gdyż nie znam języka rosyjskiego. Natomiast śledczy doskonale pojmował, co ja mówiłam po polsku i jeżeli czegoś nie mogłam zrozumieć, tłumaczył mi w moim ojczystym języku.

W końcu zaczął krzyczeć, wymyślać mi i grozić najgorszymi karami, bo znudziła się już mu kulturalna rozmowa, gdyż zobaczył, że nie uda mu się złapać mnie na żadnej nieściskości. Przez długie noce bez snu i senne dni doskonale obmyśliłam całą historię mego życia i wyprawy „zagranicę”, to znaczy do ciotki do Warszawy. W całym moim opowiadaniu prawda ograniczała się tylko do imion osób i nazwisk, jakoś dziwnym trafem okoliczności nie pamiętałam (po prostu dlatego, że nie chciałam nikogo narażać). Mogłam sobie pozwolić na tego rodzaju kłamstwa, gdyż matka moja pozostała w Lubiatyniu [Lubotyniu] i przypuszczałam, że została zwolniona (tak mnie zapewniali wszyscy naczelnicy, których o to pytałam), a babka nie była indagowana po prostu dlatego, że wmówiłam w nią i w śledczych, że jest głucha i wariatka, i zabroniłam jej cokolwiek mówić prócz swego nazwiska. Rzeczywiście uznano ją za mało niebezpieczną, gdyż 9-go dnia naszego pobytu w więzieniu – garażu oznajmiono jej, że ma *sbierat się z wieszczami* i zostać zwolnioną. Niestety, byliśmy wtedy z babcią na tyle niedoświadczone, że prosiliśmy, żeby pozwolono babci pozostać i zaczekać na moje zwolnienie, w które zresztą nikt nie wątpił, bo przecież w całym świecie i nawet w sowietach chyba zachowane jest prawo, że małoletnich nie wolno więzić. Zresztą potwierdzali to wszyscy śledczy, zawsze obiecywali mi, że wkrótce będę wolna.

Niestety. Po dwutygodniowym pobycie w Szepietowie musiałam podpisać jakąś bardzo mądrze zredagowaną deklarację, że jadę do Białegostoku na dalsze przebywanie pod strażą. Znane „zabieranie się z rzeczami” (których notabene nie miałam wcale), znowu pędzenie pod karabinami do wagonu, w którym miałyśmy

---

<sup>4</sup> Pewnie dziadkowie autorki (nazwisko Goltshall) używali określeń wywodzących się z języka niemieckiego. Chodzi o czapkę i cholewy butów. Oryginalne sztylpy, to cholewy przypisane do kamaszów.

opuścić Szepietów [Szepietowo]. Babcia moja została. Prosiłam na wszystkie świętości, żeby ją odesłano do Białegostoku. Co było z nią dalej – nie wiem.

Jeszcze jeden moment z pobytu w Szepietowie utkwił mi w pamięci. Tyczy się on nie bardzo ciekawej rzeczy, ale która w życiu więźnia odgrywa ogromnie ważną rolę. Była to sprawa ustępu. Ponieważ odżywianie w areszcie było zupełnie różne od tego, które miałyśmy w domu (dostawałyśmy tylko gliniasty chleb, wrzątek i jakąś przypaloną kaszę), każda z nas miała poważne niedyspozycje żołądkowe. Toteż krzyki *do ubornej* rozlegały się przez cały dzień. Jeżeli strażnik był dobry, to wyprowadzał kobiety za każdym razem. Co prawda ceremonia była bardzo skomplikowana. Trzech żołnierzy z karabinami przygotowanymi do strzału i z bagnietami stało na podwórku i osłaniało nasze przejście z celi do ustępu.

Odległość wynosiła 1i½ m (dosłownie półtora metra). Przy drzwiach od celi stał jeszcze jeden strażnik, który po jednej wypuszczał biedne kobiety. W garażu tłoczyła się olbrzymia kolejka chorych niewiast. Pewnego razu stojąc w takiej kolejce osłabłam do tego stopnia, że pierwszy raz w życiu zemdlałam.

Jak wyglądał nasz przejazd z Szepietowa do Białegostoku? Do kolei doszliśmy piechotą, bo była b. blisko. Nasz pociąg stał daleko od stacji. Załadowano nas na pustej łące do wagonu do przewożenia koni. Urządzony on był b. elegancko. Zamiast umeblowania leżało tam parę długich belek, które doskonale zastępowały ławki. Na tych zaimprovizowanych ławkach roztasowało się 7 kobiet z rzeczami. Był to lipcowy gorący dzień. Słońce rozgrzewało żelazny dach wagonu. Duszno było nie do wytrzymania, gdyż jak wiadomo w wagonach do przewożenia bydła są tylko małe wąskie okienka, a drzwi nie można było otworzyć, bo przecież mogłyby więźniarki pouciekać. Nawet przed zamkniętymi drzwiami stało dwóch aniołów stróżów z bagnietami.

Ostatecznie nie byłoby najgorzej w tym wagonie, gdyby nie to, że strasznie chciało się pić. Wobec tego, że na nasze grzeczne prośby: – *Towariszcz, dajcie pożałsta wody*, strażnicy nie reagowali, musiałyśmy w wyraźniejszy sposób objawić swoje niezadowolenie. Zaczęłyśmy tupać, krzyczeć, walić butami i innymi twardymi przedmiotami w ściany. Te wandalskie metody osiągnęły swój skutek, nareszcie otworzyły się drzwi i ukazało się w nich wiadro z wodą. Rzuciłyśmy się na nie łapczywie i piłyśmy, mimo, że była zielona i zgniła, gdyż pochodziła z pobliskiego bagna. Po postoju długości 1 doby na torze szepietowskim ruszyliśmy do Białegostoku. Po przekroczeniu pierwszej bramy więzienia zaczęło się inne życie – życie w klatce.

### Więzienie w Białymstoku

Nim dostałyśmy się do właściwej celi musiałyśmy przejść najpierw odpowiednie przygotowania, a więc tydzień przebywania w ciemnicy, potem spisywanie personaliów, fotografie z profilu i *en face*, odciski palców, wszystko to przerywane bardzo długimi godzinami oczekiwania. Te godziny urozmaicali nam strażnicy straszaniem nas wszystkimi możliwymi sposobami, np. zapowiadali, że po fotografii obetną nam wszystkim włosy. Nie zrobiono tego, ale łyzy rozpaczy za utraconymi warkoczami zostały wylane.

Jednym z popularnych powiedzonek strażników było: „Teraz to kwiatki, a jeszcze będą jagódki” (*Tiepier eto ćwietoczki, potom jagodki budu*), co miało

oznaczać, że teraz powodzi się nam jeszcze świetnie, a dopiero później zobaczymy, jak to przyjemnie być *zakluczonym*.

Parę słów o tym, co to było więzienie białostockie. Otóż było to stare, masywne więzienie carskie, zmodyfikowane potem przez Polaków.<sup>5</sup> Za czasów bolszewickich znowu zmieniło swoje oblicze. W celach dla 19 osób (wiedziałam, że przed okupacją w takiej celi mieszkało 19 osób, gdyż było tam 19 żelaznych łóżek), siedziało osób 80,90,100, jak to miało miejsce w celi 99, w której ja przebywałam w zimie 1940/41. W celi na jedną osobę (1 łóżko) siedziało 8-10 osób na 3 łóżkach (2 zostały wstawione później) i 6-ciu siennikach. W czasie wielkich aresztowań w lecie 1940 r. w takiej samej pojedynczej siedziało 16 osób.

To przepelnienie było powodem, że b. mały procent więźniów sypiał na łóżkach. Przed okupacją każdy więzień miał swoje łóżko, siennik, stołek i dostęp do stołu. W tym samym więzieniu za czasów sowieckich spałyśmy na cementowej podłodze. Jeżeli ktoś miał koce, mógł je sobie podłożyć, jeżeli nie, musiał spać na gołym betonie. Trzeba dodać, że większość aresztowanych byli to więźniowie polityczni, lub tzw. *granicznicy*, którym nie pozwalano zabrać ze sobą żadnych rzeczy.

Warunki higieniczne smętnie się przedstawiały: zawszenie było b. silne mimo, że wszystkie nasze ubrania co pewien czas dezynfekowano. Co prawda ta dezynfekcja raczej zwiększała ilość insektów, gdyż ubrania rozgrzewano do wysokiej temperatury we wspólnym piecu i wszy przechodziły z ubrań bardziej zawszonych na czystsze. Po wyjściu z takiego pieca wszy były nieco odurzone, ale po pewnym czasie odzyskiwały rezon i dalej gryzły swoich właścicieli. Mimo bezskuteczności tej dezynfekcji poddawane były jej wszystkie rzeczy, nawet nieużywane. Futra także skrapiano jakąś cieczą wszobójczą, która niby nie miała ich niszczyć jak parówka, ale też pozostawiała trwałe ślady.

Dezynfekcja była przeważnie połączona z łaźnią. Kapałyśmy się mniej więcej raz na miesiąc. Trzeba pamiętać, że było to lato, w celach było duszno do niemożliwości, ludzie się pocili. Co dzień rano wypuszczano nas do umywalni, w której można było obmyć twarz. Kiedy pewnego razu strażnik zauważył przez wizyterkę, że myjemy się całe, cała cela została ukarana całodziennym zamknięciem okna (było to równoznaczne z zamknięciem dopływu powietrza w pojedynczej, w której znajdowało się 10 osób). Zaczęło się to od tego, że strażnik z wielkim krzykiem wpadł do umywalni, kiedy byłyśmy w stroju adamowym, a raczej ewowym i zaczął nam wymyślać najordynarniejszymi wyrazami. Wymieniać ich zdaje się nie trzeba, bo repertuar był ustalony jeden na całe ZSSR i to, zdaje się, było jednym z dowodów jedności narodowej. Oburzenie strażnika wynikało stąd, iż nie mógł zrozumieć, że człowiek może odczuwać potrzebę umycia czegoś jeszcze oprócz czubka nosa.

Najbardziej tragiczną jednak była kwestia ubikacji. Wyprowadzano nas do ubikacji raz dziennie. Czasami tylko, jeżeli strażnik miał dobry humor, pozwalał nam wyjść także popołudniu. W ciągu 15 minut w ubikacji o trzech sedesach musiało się załatwić 30 kobiet. Trzeba wziąć pod uwagę, że przy naszym siedzącym trybie życia większość z nas cierpiała na obstrukcję. W celi stała tzw. *paraszka*, która w nagłych wypadkach zastępowała ustęp. Można so-

---

<sup>5</sup> Więzienie to rozpoczęto budować około 1908 roku i prawdopodobnie ukończono rok później. *Areszt śledczy w Białymstoku 1905-2005*, Białystok 2005, s. 7 (ustalenia Marcina Zwolskiego).

bie wyobrazić jaki był zapach w celi, kiedy nie pozwolono jej w czas wynieść i zawartość zaczęła się wylewać na zewnątrz.

Tak więc żyliśmy całe miesiące w zaduchu i smrodzie. Przez pierwsze trzy miesiące mego pobytu w więzieniu byłam raz na spacerze. Potem *progulki* zdarzały się co miesiąc, a kiedy wybuchł tyfus i władze widziały, że muszą zmienić swój stosunek do więźniów, chodziłyśmy na spacer co tydzień. Ciekawie wyglądały te nasze spacerki. Otóż w obrębie murów więzienia wybudowano zagrody z desek wysokości około 3 m, popularnie zwane wśród więźniów *świarniakami*. Nad każdą taką zagrodą górowała budka strażnicza, a w niej strażnik z bronią. Wymiary tych zagródek zależały od ilości więźniów, którzy mieli tam spacerować, dla większych cel po 80-100 osób około 15 m na 10 m, dla mniejszych 10 x 10. W takich to zagrodach spacerowałyśmy w kółko, jak konie w kieracie i byliśmy szczęśliwe, że chociaż przez te 5 czy 10 minut możemy oddychać świeżym powietrzem.

Kwestia odżywiania wyglądała następująco: więźniowie śledczy dostawali 600g. chleba, po sądzie 700 g. Rano otrzymywałyśmy chleb i pół litra herbaty – takeśmy szumnie nazywały ten napar z suszonej marchwi i buraków. W południe  $\frac{3}{4}$  l. zupy, przeważnie trochę pęcaku zarzuconego na wodę okraszzonego oliwą albo cuchnącą rybą. Wieczorem pół litra takiej samej zupy, która nazywała się kaszą, bo była nieco gęściejsza. Menu nie zmieniało się wcale. Jedynie raz czy dwa dostaliśmy tzw. *szczy* czyli kapuśniak, który naturalnie wprawili nas w cielęcy zachwyty. Była to pierwsza jarzyna od paru miesięcy.

Przez pierwsze miesiące pobytu w więzieniu nie wiedziałam, że w ogóle istnieje sklepik. Dopiero kiedy „palaczki” zaczęły się zbyt głośno domagać machorki okazało się, że można ją dostać w sklepiku. Możliwość korzystania z niego zdarzała się około 1 raz na miesiąc, czasem raz na 2 tygodnie, przy czym mogły w nim kupować tylko te panie, które przy pierwszej rewizji oddały rosyjskie pieniądze i miały kwity na nie. Ponieważ większość była bez grosza, nie wiele pomógłby ten sklepik, gdyby nie koleżeńskość, która panowała w celi. Jak coś miała jedna, miały wszystkie. W tym sklepiku można było dostać machorkę, cebulę, chleb, czasami bryndzę. Raz pamiętam była wielka uroczystość: bo *ławioł* sprowadził masło i cukierki.

Stosunek strażników do więźniów był bardzo różnorodny. Zależało to w zupełności od indywidualnych cech strażnika. Niektórzy byli b. ludzcy, jeden nawet został aresztowany za zbyt łagodne obchodzenie się z więźniami. Inni byli obowiązkowi i okrutni. Z prawdziwą umiejętnością umieli wykryć każdą igłę, każdą talię kart, każdy moment kiedy się człowiek zdrzemnął na chwilę. Bo trzeba wiedzieć, że w więzieniu nie wolno było spać za dnia ani nawet leżeć. Nie wolno było płakać, bo zaraz wbiegł strażnik z okrzykiem: – *Czewo rewiosz?* Nie wolno było śmiać się, bo zaraz zostało się skarconym za hałas. Nie wolno było szyc, ani robić żadnych robótek, bo igły, nożyczki i wszelkie inne przybory do szycia mogły służyć jako narzędzia samobójstwa. Nie wolno było pisać, bo to mogłoby spowodować niepotrzebne porozumienie się cel między sobą, a po drugie nie wolno było mieć ołówka i papieru. Mimo to korespondencja na rozwiniętych gilzach kwitła w całej pełni. Czytać było wolno, tylko niestety przez cały czas mego pobytu w więzieniu i w karnym obozie nie miałam w ręku ani jednej książki. Jednym słowem pisanym, jakie spotkałam, były pocięte kartki jakichś polskich instrukcji więziennych, które dano nam kiedyś do wiadomego użytku. Byłyśmy tak spragnione jakiegokolwiek „literatury”, że stu-



diowałyśmy te nudne paragrafy prawne z takim samym zapalem, jak uczniowie z *Szyfowych prac* historię Buckle'a.

Tak więc najbardziej dozwolonym i praktykowanym zajęciem więźnia było bicie wszy. Poza to można było także cicho rozmyślać o swojej niedoli, tylko trzeba było uważać, żeby przypadkiem nie zwrócić oka ku oknu, bo to już wzbudzało podejrzania strażnika. A nuż więzień widzi w zakratowanym oknie jakiś środek ocalenia? Mimo, że praktykowałam rozmowę przez okno z innymi celami i byłam specjalistką od pilnowania „judasza” – wizyterki, zdarzyło mi się tylko raz być w karcerze za śpiewanie „O mój rozmarynie” w łazience podczas mycia się.

Ten karcer, w którym ja siedziałam, nie przedstawiał nic nadzwyczajnego: ot po prostu betonowe pudełko bez żadnych rekwizytów w środku i nawet bez okien. Zimno tam tak, że dygotałyśmy gorzej niż na śledztwie, ale nie długo trwała nasza męka, bo jedna z moich towarzyszek udała zemdenie, a my zrobiłyśmy tak piekielny wrzask, że strażnik nie miał cierpliwości tego słuchać i odprowadził nas do celi.

Pomoc lekarka była może stosunkowo najlepiej zorganizowana. Codziennie siostra obchodziła wszystkie cele. Był to jeden ze stałych punktów programu więziennego na równi ze śniadaniem, kolacją, obiadem, *prowierką*, czyli apelem rannym i wieczornym, i porą chodzenia do ubikacji. Używane środki lekarskie były następujące: maść do świerzb, ichtiol, rivanol, jakiś zielony atrament od czyraków, aspiryna, streptocyt i nieśmiertelne kalihyper-manganicum, słynna „margancówka”, którą aplikowano zarówno do dezynfekowania ran jak i do uśmierzania bólu żołądka.

Ja osobiście przechodziłam w więzieniu b. ciężką anginę. Pomoc lekarka w tym wypadku wyglądała w ten sposób, że po bez mała godzinnym waleniu w drzwi przyszła siostra, zmierzyła mi temperaturę, dała aspirynę i nazajutrz rano przyniosła mi w kubeczku roztwór kali dla przepłukania gardła. Na drugi dzień już zapomniała, że należy mi się płukanie i tak całą chorobę przesłam w celi na wiecznym przeciągu między drzwiami i oknem. Właściwie bez żadnej opieki, żeby zobaczyć doktora trzeba było co najmniej zacząć umierać. Poza to przechodziłam świerzb, który był zresztą epidemią, tak samo jak awitaminoza, która powodowała niesłychanie bolesne owrzodzenia. Szczególnie silnie odczułam bolesność czyraków w celi 99, gdzie w pomieszczeniu o wymiarach około 6 m x 10 m mieściło się 100 osób. Szczęśliwsza i bardziej zadowolona część tego społeczeństwa mieszkała na łózkach, nowicjusze zajmowali podłogę w ten sposób, że te które przyszły ostatnie kładły się koło drzwi, a co zatem idzie *paraszki* i potem powoli posuwały się ku oknu i stołowi.

Otóż ja spałam na podłodze w bliskości źródła przyjemnych zapachów i w ciągu nocy dążące do niego towarzyszki nadeptywały mi na bolące miejsca. Nie była to nieuwaga z ich strony, po prostu leżałyśmy tak ściśnięte, że nie sposób było postawić nogi nie potracając nikogo.

Siostry sanitarne widywałyśmy także podczas rewizji, które były częste i b. dokładne. Rewidowano nie tylko rzeczy i ubrania, bieliznę i włosy, ale nawet osoby bardziej podejrzane badano ginekologicznie. Rewizje przeprowadzały kobiety.

O życiu kulturalnym nie można mówić, bo go nie było zupełnie, chociaż słowo „kultura” nie schodziło z ust wszystkich strażników i śledczych do naczelnika więzienia włącznie. Rzeczywiście władze wkładały dużo „kultury”, która była równoznaczna z perfidnym znęcaniem się w różne zarządzenia, np.

nie pozwalano na sen w dzień, zamykanie okien, zabraniano dodawania więźniom jedzenia (choćby zostało pół kotła strawy, raczej wylewano ją niż dawano więźniom; naturalnie czasami zdarzały się wyjątki, bo nawet w enkawudziście czasami odezwie się serce), zabieranie igieł i nici, nawet Bogu ducha winnych drewnianych szydełek, które to zarządzenia wydawały mi się 100 % bezsensowne, ale które, teraz widzę, miały na celu zmęczyć do ostateczności wytrzymałość nerwową więźnia i tym samym ułatwić pracę śledczemu.

Zmuszano nas do bezczynności i to było najbardziej zabójcze. Młode organizmy, choć wycieńczone, rwały się do jakiegokolwiek bądź pracy, chociażby mycia korytarzy. Niestety, ten przywilej miały jedynie więźniarki, które były już sądzone a po sądzie były tylko te, które zostały aresztowane za kradzież albo coś w tym rodzaju. Te, których śledztwo nie było zakończone musiały siedzieć spokojnie w swoich celach. Na wszelkie nasze prośby o jakiegokolwiek zajęcie odpowiadano, że po sądzie pojedziemy do łagru i tam roboty starczy dla wszystkich.

### Łagier Nowy Koksyn

Rzeczywiście, że w karno-poprawczym obozie pracy roboty wystarczyło a nawet było trochę za dużo. Jeżeli chodzi o mnie, to przez prawie cały czas mego pobytu w łagrze pracowałam przy budowie systemu nawadniającego. Sypałyśmy wały z ziemi, między którymi płynęła później woda. Praca nasza polegała na wykopaniu ziemi, częstokroć bardzo twardej, przesypaniu jej na taczki, a raczej na tzw. *nosilki*, przeniesieniu na odległość od 2 do 15 m na miejsce, gdzie miał być wał, rozgnieceniu grud, wyrównaniu i ubiciu drewnianym ciężkim walcem (tzw. „trambowanie”). Norma wynosiła początkowo 9 m gotowego wału na 1 robotnicę. Niektóre brygady rosyjskie wykonywały tę normę, my Polki wyrabiałymy 20-40 %.

W miarę rozwijania się naszej kolonii, przybywało coraz więcej aresztowanych, w tej liczbie parę brygad męskich. Tutaj od razu zaznaczyło się równouprawienie, jakie panuje w sowietach, normy były jednakowe dla mężczyzn i dla kobiet. Mężczyźni naturalnie wykonywali normy i otrzymywali za to pochwały, i co ważniejsze lepsze jedzenie i prawo kupowania w sklepiku. Jeżeli ktoś nie wykonywał normy, nie mógł korzystać z niego. Powoli, coraz więcej brygad zaczęło wypełniać normę. Było to raczej zasługą dobrych stosunków brygadierskich z *prorabami* i *dzięśnikami* niż zwiększenia wydajności pracy, ale faktem jest, że coraz więcej aresztowanych otrzymywało pełną rację żywności przysługującą *stachanowcom* i *udarnikom*, tzw. tym, którzy wypełniali normę.

Wówczas podniesiono ją do 5 m<sup>3</sup>. na człowieka. O ile przedtem olbrzymim wysiłkiem woli i ostatkiem sił zdołałam pracować stosunkowo dobrze, o tyle teraz wyrobienie 25% normy (najmniejszej stawki, która broniła od imienia *otkaszczyka* tzn. nie chcącego pracować, a co zatem idzie pozbawionego wszelkich praw) było dla mnie niemożliwością. Z dnia na dzień siły mnie opuszczały coraz gwałtowniej, aż w końcu zachorowałam na tyfus. Taki był koniec mojej radosnej pracy dla budowania ZSSR i szczęścia całej ludzkości.

Jak wyglądało to miejsce, gdzie szczęśliwi robotnicy wszystkich narodowości pracowali dla dobra wspólnej Ojczyzny? Kiedy po wielu perypetiach przy-

byliśmy na *uczastok* Nowy Koksyn,<sup>6</sup> było tam zaledwie 12 baraków na pustym stepie. Nie wiem, czy nasze mieszkania można nazwać barakami. Były to po prostu podłużne rowy wykopane w ziemi i przykryte dachem z gałęzi. Od zimna chronił żelazny piecyk. Pamiętam jeden dzień, kiedy *burian* ze śniegiem szalał do tego stopnia, że nie poszliśmy do pracy. W barakach było zimno, bo opału już brakło. Wówczas to z paroma towarzyszami zostałam wysłana daleko w step dla wycinania jakichś krzewów, które służyły potem na opał. Nie miałam wtedy jeszcze 18 lat, które dają wszelkie prawa sowieckiemu obywatelowi, ale prawo ciężkiej pracy podczas burzy przysługiwało mi już w zupełności.

Z czasem baraków przybywało coraz więcej. Ukazały się druty kolczaste dookoła, budki strażnicze i wartownia. Jako dalszy etap postępu zjawily się długie sznury wzdłuż ogrodzenia, do których przymocowane były łańcuchy dla psów policyjnych. Wybudowano kuchnię, magazyn, *wodogrejkę*, a kiedy roboty przy melioracji były już na ukończeniu i kolonia zaczęła się zamieniać w fermę rolniczą, zaczęto nawet budować baraki z cegieł miejscowego wyrobu. W tym to okresie ceglanym ustępy nawet były murowane. Były to piękne białe budynki z olbrzymimi czarnymi literami Ż i M. Jedyłą ich wada było to, że jak wszystkie zresztą ulepszenia i inwestycje w obozie, zostały wybudowane parę miesięcy za późno i epidemia tyfusu brzuszego, i głód zdołały już zdzięsiatkować ludność łagru. Poprzednie ustępy były to po prostu doły głębokości półtora metra, na których połowie były deski; prawie wypełnione po brzegi, nie było komu ich zasypywać i kopać nowych. Pływały w nich jakieś obrzydliwe robaki i larwy much, które po wylęgnięciu się odbywały niedługo, bo około 25-metrową drogę do kuchni albo krótszą, bo około 10 m do baraków mieszkalnych. W takich warunkach należałoby się raczej dziwić, gdyby epidemia nie wybuchała. To była jedna z przyczyn tyfusu. A głód, brud, ciasnota?

Jeżeli brak było miejsca w więzieniu, jeszcze można było sobie to jakoś tłumaczyć. Ale w obozie pracy, gdzie miała panować względna wolność i doskonałe warunki pracy? Odpoczynek nocny wyglądał w ten sposób, [że] jeżeli tylko ktoś w nocy wyszedł, ściśnięte ciała zapelniały momentalnie powstałą lukę i po powrocie trzeba było przesiądzic całą noc na brzegu zrębu ziemi, który zastępował pryce.

Niedaleko wartowni stał dom naczelnika obozu, który był człowiekiem wolnym i kierownikiem robót. Życie tych dwóch ludzi nie różniło się prawie od siebie, ale za to było zupełnym przeciwieństwem życia „czarnoroboczych”, chodzących na tzw. *obszczyje raboty*. Kasą uprzywilejowaną byli również inżynierowie, prowadzący roboty tzw. *proraby* i podlegający im dziesiętnicy, którzy z kolei doglądali brygadierów. Brygadier był władzą, która bezpośrednio stykała się z robotnikami; mieszkał z nimi razem i w zasadzie powinien był być wybierany przez swoich przyszłych podkomendnych. W rzeczywistości brygadierami były te kobiety, które utrzymywały dobre stosunki z władzami.

Przykładowo początkowo naszą brygadierką była p. Grabowiecka, żona jakiegoś oficera z Lidy. Brygada wyrabiała wówczas 14-18 % normy. Po pewnym czasie dostałyśmy nową „brygadierkę” – młoda rosyjską dziewczynę, która należała do arystokracji obozowej, gdyż została ukarana za defraudację, co

<sup>6</sup> S. Kalbarczyk, *Wykaz łagrów sowieckich, miejsc przymusowej pracy obywateli polskich w latach 1939-1943*, cz. 1, Warszawa 1993, s. 185.

stanowiło przestępstwo najbardziej szanowane w obozie. Potem szły wszystkie inne *bytowyje stati* – przestępstwa administracyjne i złodziejstwo połączone z mordem, a na samym końcu, jako najwięksi zbrodniarze stali więźniowie polityczni. Mimo to często oni właśnie zajmowali naczelne stanowiska po prostu dlatego, że nowe *blagonadiożne* – prawomyślne społeczeństwo nie posiadało odpowiedniego wykształcenia. Jednak usuwano ich zewsząd, gdzie można było się obyć bez fachowców.

Tak więc ta młoda Rosjanka Frajłowa została naszą *brygadirką*. Z początku byliśmy szalenie oburzone, dlaczego, my Polki musimy znosić przełożoną Rosjankę, ale wkrótce zauważyliśmy, że mamy z niej wielką korzyść. Otóż wydajność naszej pracy zaczęła się coraz bardziej zwiększać. Wyrabialiśmy teraz 70%, 80%, 100% a nawet niektóre *zwiena* (grupy po kilka osób pracujących razem) osiągały „stachanowskie” wyniki. Co się stało? Czyżby sił nam przybyło, czy doszliśmy już do takiej wprawy w noszeniu ziemi? Nie, po prostu Frajłowa była bardzo ładną kobietą i nie trudno jej przychodziło wpisywać nam takie procenty, jakie chciała.

*Prorab* zapatrzony w jej piękne oczy milczał. Dlaczego właściwie starała się ona tak usilnie o poprawę naszego bytu? Przyczynę łatwo zgadnąć: młoda, śliczna dziewczyna była ambitna i lubiła piękne fatalaszki, a nasze panie miały jeszcze sporo dobrze zachowanych rzeczy z Polski. Trzeba było zdobyć sobie ich serca i żołądek, aby trafić do waliz.

Jak wyglądał dzień pracy w łagrze? Pobudka była około godz. 3-ej rano, długo jeszcze przed wschodem słońca. Dyżurna wraz z *dniewalną* (starsza kobieta, która nie chodziła na robotę i miała obowiązek pilnowania baraku) szła po śniadanie, które składało się z pół litra wody po jaglance na osobę, w rzadkich momentach dobrego humoru, nazywałyśmy te lury „zupą”. Na pół godziny przed wschodem słońca zaczynały się rozlegać krzyki dziesiętników, zawchoza i przede wszystkim rozprowadzającego brygady, nawołujące do wychodzenia na robotę. Był to głos wołającego na puszczy. Naturalnie spałyśmy w dalszym ciągu, ewentualnie przetykałyśmy *balandę*. O ubieraniu się nie było mowy, bo spałyśmy w tym samym, co w dzień chodziłyśmy. Rozbieranie się pociągało za sobą konieczność choćby fikcyjnego szukania wszy, a po co to robić, kiedy nawet insekty zostawione w spokoju mniej gryzą? My nie możemy mieć chwili spokojnej, niech chociaż nasze wszy hodują się dobrze. Od takich wynalazków cywilizacji (burżuazyjne *priedrassudki*<sup>7</sup>) jak mycie odzwyczailiśmy się już dawno. Teraz i my rozumiałyśmy, że wystarczy wymyć czubek nosa raz na tydzień. Po co to robić częściej? I tak znowu pójdzie się do pracy i *ubabrze* w ziemi.

W końcu, kiedy zaczęto krzyczeć, że sprawdzają w barakach, kto nie wyszedł na robotę, zwlekałyśmy się z posłań i wychodziłyśmy na plac. NKWD wraz z władzami obozowymi szalało po szalaszach wyciągając z wielkim hałasem *otkazczyków* i innych wrogów *radosnowo truda*. Brygady stały tymczasem na placu pod bramą i cierpliwie czekały swojej kolejki wyjścia poza druty na robotę. Wtedy właśnie wschodziło słońce.

Po przyjeździe na miejsce pracy, jeśli nie było w pobliżu żadnej władzy wyższej, a *brygadirka* nie była zanadto gorliwa, kładłyśmy się na taczkach i łopatach i w dalszym ciągu kontynuowałyśmy sen. Działo się tak nie tylko w na-

<sup>7</sup> Kpiąco: burżuazyjne przesady.

szej polskiej brygadzie, ale we wszystkich. W ogóle Polki stanowiły stosunkowo mały procent na Nowym Koksynie. Kiedy słońce rozgrzało już trochę nasze skulone i zmarznięte członki, i równie zmarznięty i senny wartownik przypomniał sobie, że należy krzyknąć: – *A nu, dawajcie-ka po bystrieje* – wstawaliśmy i zabieraliśmy się do pracy. Pracowaliśmy b. gorliwie – byliśmy głodne i zależało nam na każdym gramie chleba. Normy chleba zostały zmniejszone po wybuchu wojny niemiecko – sowieckiej. Kto nie wykonał 25 % normy uważany był za *otkazczyka* i dostawał 300 gramów chleba, i na dodatek czasami karcer. Niestety, praca była tak męcząca i organizm tak wyczerpany, że wyrobienie 25 % było szczytem naszych marzeń. To, że nie siedzieliśmy w karcerze zawdzięczamy tylko umiejętności naszej *brygadirki* i temu, że naszym dziesiątnikiem była Polka p. Julia Wołkowa.

O ile ranki były zimne, prawie mroźne, to południe dawało się nam we znaki w wprost przeciwny sposób – upał odbierał nam resztki sił. Ponieważ pracowaliśmy w odległości 5-10-15 km od łagru (kanały budowano coraz dalej, więc i odległość od obozu powiększała się z każdym nowo usypanym wałem), więc obiad przywożono nam na pole. Kiedy pracowaliśmy w odległości 3-5 km chodziliśmy na obiad do obozu. Przerwa południowa trwała godzinę. W czasie tej przerwy przełykałyśmy 850 g. *balandy*, tak nazywałyśmy zupę, był to przeważnie kapuśniak, grochówka albo jaglanka. Czasami można było w niej znaleźć parę włókienek mięsa), na drugie danie była kasza – pęczak, jaglanka, albo soja, ale tylko dla tych, którzy wykonywali co najmniej 70% normy. Ci, którzy byli zdolni wykonać 100% dostawali czasem pierogi na trzecie. Mieli oni także prawo dokupowania sobie chleba i cebuli. Ci, którzy nie mogli sobie pozwolić na kupno posługiwali się metodą daleko prostszą w zdobywaniu witamin – po prostu wykradali z pola wszystko, co na nim rosło w myśl zasady, że w ZSSR *kto nie worujet* [kradnie] *tot nie żywiot*. Nawet surowe kartofle stanowiły przysmak nie lada i ja dotychczas nie mogę zrozumieć, dlaczego właściwie gotuje się ziemniaki, a nie je się ich tak jak jabłek? Wówczas wydawało mi się, że nie ma większego przysmaku, jak młody surowy kartofelek. O tem, żeby upiec albo ugotować sobie ziemniaki nie było mowy, zaraz zjawiał się strażnik z bagnetem i roztrzącał ognisko.

Formalnie w czasie przerwy obiadowej miałyśmy czas dla uporządkowania swoich ubrań, prania itd. W praktyce byliśmy tak zmęczone pracą, że po prostu było nam wszystko jedno, czy nasze ubranie jest całe, czy podarte, czy jesteśmy brudne, czy czyste; jedyną ważną kwestią było napełnienie żołądka i zdobycia chwili snu. Kładłyśmy się więc na ziemię jak nieżywe, aby choć na moment nie czuć ciężkiej motyki w ręce, żeby przez chwilę chociaż odpocząć. Po przerwie pracowaliśmy do zachodu słońca. Dni są długie w Kazachstanie i dzień pracy miał tam 14-15 godzin. Kiedy słońce zaszło, spędzano nas z pola i gromadami pod eskortą strażników wracaliśmy do obozu. Dobrze, jeżeli pozwolono nam od razu iść do baraku, ileż to razy zatrzymywano nas przed bramą obozu i urządzano miting polityczny, kazano krzyżeć „niech żyje Stalin” albo odczytywano wyroki śmierci, jakie ktoś tam gdzieś dostał za ucieczkę z obozu lub *otkaz* w pracy.

Wejść do obozu nie było wcale łatwiej niż wyjść z niego. Najpierw trzeba było przejść przez ręce niezliczonych *prorabów*, rozprowadzających naczelników, którzy liczyli nas jak stado owiec, potem dopiero można było biec do

baraku. Ten cały ceremoniał był już zresztą wielkim postępem w życiu więźniów, bo przedtem robiono jeszcze po kolacji tzw. *prowierki*, tzn. co najmniej pół godziny stania pod gołym niebem i czekania aż strażnicy ze swoją świtą doliczą się wszystkich więźniów.

Na kolację dostawaliśmy wrzątek i chleb, który naturalnie zjadałyśmy od razu, chociaż miał nam wystarczyć na cały przyszły dzień. Zaledwie przełknęłyśmy ostatnie kęsy rzucaliśmy się jak nieprzytomne na posłanie. Była godz. 10, o 3-ej rano znowu pobudka i znowu znojny dzień pracy.

I tak bez ostatku, dopóki sił starczy, dopóki czarna ziemia nie przygarnie na wieczny odpoczynek. Bo w tym obozie, gdzie ja byłam, nie było świąt ani dni wolnych. Pracowało się bez przerwy. Jeżeli był *buran* i nie można było wyjść w pole, nie można było się też poruszać z zimna. Siedziało się na swoim posłaniu zupełnie jak drewniana figura. Często zdarzało się, że nawet deszcz nie powstrzymywał zarządów łagru od wypędzenia nas na robotę i musiałyśmy tak bezczynnie tkwić w mokrej ziemi, w mokrych ubraniach, bo już byłyśmy tak zrezygnowane i zmęczone, że krzyki i groźby, i nawet lufa karabinu nie mogła zmusić nas do żadnego ruchu.

Można by dużo jeszcze pisać o życiu w łagrze. Ale wspomnienia są jeszcze zbyt świeże i zbyt bolesne. Można kiedyś po latach będę mogła mówić spokojnie o tych czasach. Teraz mimo najszczerzych chęci nie nam sił wgłębiać się dalej w tę otchłań nędzy ludzkiej, jakim jest *isprawitielno-trudowej lagier*.

*Ochotniczka Urbanowicz Anna – uczennica*

## • WSPOMNIENIA LWOWIANINA

Byłem aresztowany po północy 30 marca 1940 roku w rodzinnym domu przy ulicy Warszawskiej 63a na Kleparowie. Na wojskowej ciężarówce było już kilku ludzi. Zawieźli nas w górę ulicą Kleparowską, wokół kościoła Świętej Anny i przez Gródecką do ulicy Sądowej, gdzie mieścił się przed wojną sąd grodzki. W piwnicach budynku tego sądu zrobiono cele więzienne – przesłuchiwania więźniów odbywały się w budynku po przeciwnej stronie.

Byłem przesłuchiwany tej samej nocy. Wysoki „czubaryk”, o rysach kaukaskich, oskarżył mnie o zignorowanie wyborów lutowych. Z nieoczekiwaną przez samego siebie odwagą odparłem, czy nie zrobiłby on to samo w sytuacji odwróconej- gdyby tak Polacy wkroczyli do Rosji i po kilku miesiącach żądali od niego głosowania w wyborach polskich. Zaklął grubiańsko, ale zauważyłem w jego oczach zaskoczenie połączone z małym szyderyczym uśmiechem. Rzucił następne pytanie a raczej stwierdzenie: Byłeś w zarządzie szowinistycznej organizacji „Biały Orzeł”? Odpowiedziałem, że owszem, byłem w zarządzie, ale „Biały Orzeł” to czysto sportowy klub. Stwierdził następnie, że należałem do podziemnej organizacji wojskowej. Zaprzeczyłem. Patrzył przez chwilę intensywnie w moje oczy i zapytał: Czy wiesz, że taka organizacja istnieje? – Odparłem, że nie wiem, ale jestem pewny, że jeżeli nie istnieje to wkrótce będzie istnieć. Zaklął znowu i naciskał dalej: - Gdyby taka organizacja istniała, wstąpiłbyś do niej? – Odpowiedziałem, że nie miałbym wyboru, byłby to obowiązek.

Znów wpatrywał się we mnie ciekawie, wreszcie zaśmiał się szyderczo, otworzył drzwi i rozkazał odprowadzić mnie do celi.

Nazajutrz długo roztrząsałem każde słowo tego przesłuchania i dziwiłem się samemu sobie – co we mnie wstąpiło, przecież to ja byłem w ofensywie, ciarki przechodziły mi po krzyżu. Przecież następnym razem zbije mnie na kwaśne jabłko. Podszedł do mnie współwięzień, olbrzymi brodacz, uśmiechnął się przyjaźnie i rzekł, jak gdyby czytając moje myśli: - Nie zmieniaj swoich zeznań, będą pytać to samo za każdym razem – odpowiadaj tak samo jak pierwszy raz, unikniesz nieprzyjemnych komplikacji. – Zapamiętałem jego radę, okazała się zbawienna.

Rozejrzałem się po celi. Było razem około 30 ludzi, ze ścian i sufitu spływała woda, brak było powietrza, małe okienko piwniczne nie wpuszczało prawie światła, żarówka w środku sufitu paliła się cały czas. Uspokoilem się trochę i zacząłem się modlić. Przyszła mi na myśl litania loretańska, którą znałem na pamięć. Odmawiałem ją potem codziennie, we wszystkich więzieniach, w łagrze, w czasie powrotu z łagru na zachód, w Tockoje, w Uzbekistanie, w czasie koszmarnej podróży morzem Kaspijskim do Persji. Jest dotychczas moją ulubioną modlitwą.

Po dwóch tygodniach znalazłem się w Brygidkach. Towarzystwo w celi było mieszane, przeważali złoczyńcy. Przywitał mnie „starszoj” – poznałem go natychmiast, jeden ze słynnych lwowskich kasiarzy, trzech braci Bobeli. Był średniego wzrostu, rudy, z dziwnie ciepłym uśmiechem. Znał mnie i moją rodzinę (byliśmy prawie sąsiadami), objaśnił rutynę w celi i przedstawił kilku najbliższym kumplom.

W godzinach porannych, po przymusowym wszobiciu, odbywała się przechadzka po środku celi. Maszerowało na zmianę trzy pary, na więcej nie było miejsca. Maszerowało na długości około 8 metrów, przy dojściu do dwóch końców, każda para robiła zwrot do wewnątrz i powtarzała następną długość przechadzki. Obserwowałem tych, którzy po kolei chodzili, zainteresowałem się wysokim mężczyzną, z francuskim wąsikiem, uschłą lewą ręką i z kosztownym futrem na ramionach. Zapytałem Bobelę: Co to za łyta? (bogacz). – To nie żaden łyta – odpowiedział – to słynny Krzyworączka, jeden z najlepszych kieszonkowców w Europie. Podróżował na międzynarodowych liniach kolejowych i oczyszczał bogatych pasażerów.

Pod wpływem Bobeli inni tolerowali, a nawet do pewnego stopnia, opiekowali się mną – spałem pośrodku dwóch zestawionych łóżek. Inaczej było z innymi „politycznymi” – spali oni na podłodze (brakowało łóżek), do pewnego stopnia pogardzani. Zainteresowałem się dużym typowym chłopem polskim, rozłożonym w kącie sali; miał około sześćdziesięciu lat a może trochę ponad, nazywał się Andrzej Dyba, miał majątek koło Brodów. Nie był tak prosty jak się wydawało, zwierzył mi się, że był znanym działaczem społecznym, miał kilka odznaczeń za pracę społeczną, w tym złoty krzyż zasługi. Rozpaczał nad przyszłością swojej rodziny, był przekonany, że już nigdy do niej nie powróci.

Ta raczej ciekawa sytuacja, w której się znalazłem w celi mieszanej nie trwała długo. Po kilku tygodniach zmasowali mnie z przeszło 80 „politycznymi” w celi nie większej jak 8 x 4 metry, widocznie aresztowali taką masę ludzi, że brak im było miejsca na pomieszczenie ich. Łóżek w celi nie było, na podłodze

mogła się wyciągnąć na zmianę tylko jedna trzecia ludzi. Spoczywaliśmy i spali na zmiany, brak było powietrza a przechadzki były nie do pomyślenia. Jednocześnie postanowiliśmy zacząć głodówkę, aż do czasu zmniejszenia ilości ludzi w celi. Odmawialiśmy chleba, zupy i wody przez trzy dni. Grozili, przeklinali, ale po trzech dniach zabrali 15 ludzi. Można było swobodniej oddychać. Pewnego dnia przypadkowo zauważyłem, że przez szparę u dołu drzwi wiał maleńki przeciąg i czyste powietrze. Ku zdumieniu niektórych ludzi ułożyłem się dosyć blisko „parażki”, ale również w zdrowotnym przeciągu przy drzwiach.

Zaczęliśmy się poznawać. Było kilka ciekawych typów, wśród nich dwudziestoparoletni Żyd Aron, z typową semicką twarzą. Aron przyznawał się do komunizmu, a nawet chlubił się tym, że od kilku lat, będąc studentem na Uniwersytecie Jana Kazimierza na stypendium państwowym, był aktywnym komunistą. Dlaczego go komuniści zamknęli? – pomyłka, odpowiadał Aron, która niedługo się wyjaśni. Okazało się, że był trockistą i nie miał szans na zwolnienie. Poznałem również młodego chłopaka z Łodzi, Józia Nowaka, który również przyznawał się do komuny a ojciec jego „siedział” przed wojną za swoje przekonania. Józia posadzali o szpiegostwo. Byliśmy razem przynajmniej 6 tygodni, przesłuchiwano tylko niektórych, Arona kilka razy. Nim zabrali mnie z celi w lipcu, Aron widocznie tracił nadzieję, wyglądał strasznie, skóra mu pożółkła, oczy błyszczały chorobliwie. Po czasowym przebywaniu w Bragidkach znalazłem się w więzieniu „czysto politycznym” przy ulicy Zamarstynowskiej. Był to przedwojenny kompleks sądowy i więzienie garnizonu lwowskiego. Cena, do której trafiłem, była w podobnym stopniu przepelniona jak te, w których siedziałem w Brygidkach. Więźniowie jednak byli innego pokroju, większość stanowili byli wojskowi różnego stopnia, policjanci, strażnicy, jak również wielu Ukraińców.

Już w maju NKWD zaczęła aresztowania wśród Ukraińców. Było to po wybuchu bomby 1 maja pod trybuną zapełnioną oficerami sowieckimi i ich rodzinami, w czasie zawodów sportowych na pływalni wojskowej przy ulicy Kleparowskiej. Ale prawdziwe żniwa na Ukraińców zaczęły się dopiero w lipcu. Do „mojej” celi wtrącano po kilku prawie codziennie. Zabierano ich tej samej nocy na przesłuchania, wielu z nich nie wracało do celi. Tych, którzy wracali, wrzucano do celi jak kupę mięsa, zasiniaczonych i pokrwawionych okropnie. Jeden w nich w wieku około 25 lat, z grubymi rysami chłopskimi, po kilku dniach katuszy, nie wytrzymał. Po powrocie z przesłuchania, gdy wszyscy w celi usnęli, powiesił się na rękawach swojej własnej koszuli, którą uwiązał u góry kaflowego pieca w kącie celi.

Przez pewien czas Polaków nie przesłuchiwano, prawdopodobnie koncentrowali się na Ukraińcach. W celi wytworzyła się powoli pewna atmosfera odprężenia. Ktoś ulepił szachy z chleba i zaczął się turniej. Pewnego dnia spotkałem niespodziewanie w ubikacji-umywalni lub w korytarzu pomiędzy celami Tadzika Fidalskiego, był z innej celi, ale tego dnia strażnicy nawalili otwierając dwie cele naraz. Znałem Tadzika tylko z widzenia, był starszy ode mnie, poznał mnie jednak i krótko rozmawialiśmy. O sobie mówił pesymistycznie, twierdził, że nic go nie uratuje; dowiedziałem się od niego, że Adam Szpularz także „siedzi”, a Dziunek Sokół podejrzanym kapusiem. Sam był bardzo opanowany, taki, jakim go widywałem na wolności, biła mu z twarzy jakaś dziwna szlachetność i dobro.



Z początkiem sierpnia miałem dalszych kilka przesłuchań, NKWD-zista, który mnie przesłuchiwał, był zupełnie odmiennym typem od poprzedniego. Wysoki, szczupły, z twarzą Mongoła i kościotrupa, z zadartym nosem, tak jak daszek jego czapki, której chyba nigdy nie zdejmował. Zadawał mi te same pytania i otrzymywał te same odpowiedzi, wściekał się, krzyczał, przeklinał i bił gumową pałką po nogach – nic nowego powiedzieć mu nie mogłem. Gdzieś z końcem sierpnia lub początkiem września (dokładne daty w takich warunkach nie mają większego znaczenia) niespodziewanie znalazłem się na sali sądowej. Byłem wprowadzony ostatni, po przenoszeniu do innych cel nie mogli mnie znaleźć, gdy wreszcie trafili, wyrwali mnie z celi tylko w gaciach.

Grupa oskarżonych składała się z około 30 ludzi – rozpoznałem Adama Szpularka, Tadzika Fidalskiego i młodziutkiego Kazia Cwynara, innych w ogóle nie znałem. Parodia przewodu sądowego trwała około 40 minut, gadało długo dwóch oskarżycieli a potem dwóch przydzielonych obrońców. Apelowali oni do, zdaje mi się, trzech sędziów, by ze względu na młody wiek większości oskarżonych byli łaskawi w wydawaniu wyroków. Następnie sąd udał się na naradę celem uzgodnienia wyroków. Po nie więcej niż 15 minutach wrócili z wypisanymi maszynowo wyrokami na około 30 ludzi. Adam Szpularz, Tadeusz Fidalski i emerytowany kapitan Michał Kotliński (słyszałem przed wybuchem wojny, że był naszym sąsiadem, wybudował dom niedaleko naszego, za torem kolejowym) zostali skazani na śmierć, reszta na pomiędzy 5 do 15 lat ciężkiej pracy w łagrach. Ja dostałem 10 lat a najmniej Kazio Cwynar, 5 lat. Wszystkich pozbawiono obywatelstwa sowieckiego (w tym miejscu rozległy się ironiczne śmiechu wśród skazanych) i skonfiskowano wszystkie nasz majątek.

W przeciągu tygodnia znalazłem się znów w Brygidkach w jednej z cel „zasadzonych”. Po przybyciu do Brygidek wszyscy byli poddani ścisłej rewizji, rozbierali nas do naga i wszystko było szczegółowo przeszukane. Mój „strzałok” w czasie tej rewizji zapytał mimochodem: - Skolko pouczył? – Diesiątku – odpowiedziałem i wtedy po raz pierwszy usłyszałem od niego tę filozoficzną formułę egzystencji w Związku Sowieckim: – Żyt’ budiesz, Jeb’t nie zachoczysz! – Stu procentowa prawda – przychodziły mi na myśl te słowa w łagrze bardzo często, byłem wówczas tak słaby fizycznie i psychicznie, że gdyby postawili przede mną najpiękniejszą kobietę na świecie i kromkę chleba, sięgnąłbym po chleb.

Po kilku dniach rozdali wśród nas po kartce „bumaszki” i kazali pisać „o pomiłowanie” do Stalina. Oddałem bumazkę czystą, ale nie dali za wygraną, po dwóch dniach wywołali mnie na korytarz. Przy stoliku siedział NKWD-zista, który zapytał dlaczego nie napisałem „o pomiłowanie”. Odpowiedziałem, że pomiłowania nie chcę. Zaklął siarczyście i oświadczył: - Napiszu za was! – Napisał i zażądał podpisu – podpisałem. Po dwóch miesiącach przyszła odpowiedź Stalina – nie pomiłował.

Robiło się coraz zimniej w celi i niespodziewanie byliśmy zadowoleni z przepełnienia, wspólne smrody dawały trochę ciepła. W drugiej połowie listopada załadowali nas do karetek i przetransportowali na stację kolejową Kleparów. Wczesnym rankiem opuszczaliśmy Lwów. Ostatni raz jechałem „sztreką” kolejową Kleparów-Podzamcze. Patrząc przez szparę w wagonie migąło mi przed oczyma to wszystko z czym się zrosłem przez 19 lat na Kleparowie – pola i sady, które mogłem wyliczyć po imieniu, ich właścicieli, nasz drewniany dom w odległości nie większej niż 800 metrów od toru kolejowego, przejście

kolejowe przez ulicę Wszystkich Świętych, a potem po przeciwnej stronie strzelnicę wojskową, basen kąpielowy i nasyp wiodący do mostu przeczulicę Kleparowską...

Jechaliśmy w wagonach towarowych, po mniej więcej 60 w każdym, a pociąg był długi. Po dwóch stronach wagonu były dwa rzędy drewnianych pryzc a pośrodku podłogi wyrębana dziura, drzwi z obu stron były zaryglowane. Dostaliśmy po 300 gramów chleba i „kpiatok” przed wyjazdem ze Lwowa – to było wszystko aż do Ufy. Ogromna desperacja i bojaźń przed nieznanym ogarnęła ludzi. Z jakiegoś wagonu wyłamano się (przypuszczalnie przez powiększoną dziurę w podłodze, myśleliśmy też o tym), była jakaś ucieczka, pociąg zatrzymano w czystym polu, kilku „strilków” wpadło również do naszego wagonu, liczyli nas kilka razy a później pobili najbliższych kolbami karabinów.

Pociąg często stał godzinami na bocznicach stacji, było ogromnie zimno, jechaliśmy już wzdłuż południowej Syberii na olbrzymiej przestrzeni pomiędzy Uralem a Irkuckiem. Prawie wszyscy mieliśmy odmrożone w różnym stopniu nogi lub ręce. Młodziutki Tadziu Rejtan (dziwne fatum jest związane z tym nazwiskiem) zasnął przy ścianie wagonu – z trudem oderwaliśmy całą lewą stronę jego odzieży od desek wagonu, odmroził sobie również część twarzy i głowy (wykończył się w łgrze, gnął za życia, wreszcie zwariował).

Do Irkucka przyjechaliśmy zupełnie wyczerpani. Gdy zagnali nas tam do łaźni parowej, przy wejściu zrobiło mi się ciemno w oczach i zupełnie omdlałem – nie byłem wyjątkiem. Nie wiedzieliśmy oczywiście dokąd nas wiozą. Jak się okazało z Irkucka do Burłagru pozostało jeszcze 2000 kilometrów. Po miesiącu tej koszmarnej jazdy przybyliśmy do kolonii przejściowej łagru, było blisko Bożego Narodzenia. Nie braliśmy tego pod uwagę, wszystkie nasze myśli kierowały się ku przetrwaniu i ewentualnemu ocaleniu.

Gdzieś koło nowego roku 1941, załadowano nas w połowie dnia na otwartą lorę dużej ciężarówki, około 60 chłopca, nakryli płachtą i wieźli do późnej nocy. Mróz był okropny. Stanęliśmy na polanie sosnowego boru, okazało się, że trzech ludzi, którzy siedzieli pośrodku lory, udusiło się, a pięciu siedzących z przodu zamarzło na śmierć. Szczęśliwie byłem jednym z siedzących na samym tyle. Noc była piękna, cicha, gwiazdy jarzyły się tysiącami na niebie, było stosunkowo jasno, otaczały nas wysokie drzewa. Zapaliliśmy ogromne ognisko i w półśnie przetrwali do rana. Rano „starszyj” z trzech żołnierzy (jak się potem okazało byli też więźniami) oznajmił nam, że w tym miejscu mamy zapoczątkować nową kolonię łagierną. Zostawili nam 2 piły, 2 siekiery, 2 łopaty, trochę dużych gwoździ i żelazny piecyk oraz dosyć duży worek mąki. Zapowiedzieli, że po dwóch tygodniach powrócą, rzucili zmarłych na lorę i odjechali.

Konieczność jest matką osiągnięć. W dwa tygodnie postawiliśmy barak a raczej duży szałas, na pół metra od ziemi, z dachem spadającym aż do podwalin, mchem między okrągłakami drzewa. Wewnątrz prycze po dwóch stronach wysłane chrustem, pośrodku żelazny piecyk. Jedynym posiłkiem była zbiegła mąka na gotującej się wodzie.

Jak zapowiedzieli po dwóch tygodniach wrócili, przywieźli kilka bochenków chleba zamrożonego na kamień i więcej mąki, pochwalili robotę i odjechali. W przeciągu kilku tygodni zjechało się więcej skazańców, zbudowano więcej ba-

raków. W maju, gdy wreszcie zaczęła się krótka wiosna, powstała nowa kolonia potwornych żebraków, zdruzgotanych cieni ludzkich, żyjących jak zwierzęta.

Wysyłano nas do oczyszczania terenu szerokości około 25 metrów, po którym miała przebiegać przyszła linia kolejowa. A potem, przez kilka tygodni, pracowałem w kamieniołomach, w których wydobywano materiał do budowy przyszłych mostów i nasypów kolejowych. „Naparnikiem” moim był najpierw młodszy ode mnie lwowianin Władziu Herman. Pochodził z bogatej rodziny, ale nigdy głęboko nie zwierzał się na ten temat. Jego blada twarz była zawsze dziwnie pełna smutku i rezygnacji. Nieoczekiwanie Władziu zniknął z kolonii a naparnikiem moim został olbrzymi ukraiński Żyd z dużą siwą brodą i łysą głową. Aron (jeszcze jeden Aron) wyglądał na starego człowieka, ale faktycznie niedawno ukończył 45 lat. Był w dziesiątym roku swego wyroku, nie spodziewał się jednak, że go wypuszczą. Był raczej przekonany, że (jak mówił ironicznie) „sowiecka władza w swojej niezmiernej dobroci” przedłuży jego wyrok przynajmniej o kilka lat. Była to normalna procedura. Tych, których zwalniali wysyłano do starych kolonii łagiernych, wokół których powstawały z czasem nowe wsie i miasteczka. Łagier, po wypełnieniu planu, opuszczał stare kolonie na południu i przenosił się, wraz z powstającymi nowymi koloniami, na północ.

W lipcu kopaliśmy olbrzymie doły na podwaliny mostów. Pół metra w głąb ziemia była wiecznie zamarznięta. Wierciliśmy w niej głębokie dziury, które wypełniano materiałem wybuchowym i wysadzano w powietrze jak skałę. Niespodziewanie na kilka dni oddzielili mnie od „mojej” brygady i wysyłali codziennie na piaszczyste koryto rzeczne, na którym stały prowizoryczne sita umieszczone na drewnianych ramach. Od poranku do zachodu słońca przesiewałem suchy złocisty piasek a na sitach pozostawały różnego rozmiaru grudki złota. Po długiej całodziennej pracy nie było tego dużo. Nie wiem, co było przyczyną tego interesującego eksperymentu, przypuszczalnie chcieli wy badać procentową zawartość złota w piasku.

Wiosna i lato były bardzo krótkie, razem nie więcej jak 4 miesiące, przyroda zmieniała się w oczach. We wrześniu mieszaliśmy ręcznie olbrzymie ilości cementu, z którego ulewano przęsła mostów. W październiku spadły śniegi i zaczęła się zima na całego. Odłączyli mnie znów od brygady na kilka dni i dowozili do składów cementu, piasku i kamieni. Ładowałem, z pomocą kierowców te materiały na wielkie ciężarówki. Pewnego dnia, za wyjątkiem kilku ciężarówek rano, po południu nikt się nie zjawiał. Położyłem się na desce przy ognisku, które poczawszy od rana paliło się przez cały dzień, i wkrótce zasnąłem. Mróz i zapadający wieczór obudziły mnie, nie mogłem się oderwać od przymrożonej do mnie deski. Gdy wreszcie się wyrwałem natarłem przymrożoną rękę aż po łokieć śniegiem i podnieciłem prawie już wygasły ogień. Ogarnęła mnie trwoga, myślałem, że zapomnieli o mnie. Było już ciemno, gdy przyjechała wreszcie ciężarówka powrotna. Zafasowałem w ten sposób na całe życie barometr w mojej lewej ręce – wierci w niej nieprzyjemnie przed zmianą pogody. W „mojej” brygadzie nikt nie wypełniał normy dziennej, prawie wszyscy byliśmy Polakami. Wyrabialiśmy około 35%, tak, aby nie traktowano nas jak „odkaszczyków”.

W latach siedemdziesiątych ambasada sowiecka w Wellingtonie, Nowa Zelandia, wydała specjalny artykuł propagandowy dla tutejszej prasy, który zawierał opis otwarcia nowej linii kolejowej, o długości przeszło 2000 kilometrów,

łączącej dolinę rzeki Burii z Nikołajewskiem i Krasnowodzkiem. Wyczyn ten podkreślano jako jeszcze jedno olbrzymie osiągnięcie gospodarcze władzy sowieckiej w południowej Syberii. Moje protestacyjne listy do redakcji kilku głównych dzienników były zupełnie zignorowane. Rząd Nowej Zelandii nawiązywał wówczas nowe stosunki handlowe ze Związkiem Sowieckim i spodziewał się dużych eksportów do tego kraju produktów mlecznych, baraniny i wełny.

W drugiej połowie października miałem niezwykle sen: stałem na wysokiej górze, w dolinie z mgły wyłaniały się kolumny wojska, rozpoznałem, że to wojsko polskie. Wzruszony odwróciłem się, za mną stał mój starszy brat Mietek, szlochając padliśmy sobie w ramiona... Sen przerwał łągierny dzwon „na podiom”, poderwałem się z barłogu i obudziłem mojego „naparnika” Alojzego, kelnera ze Lwowa. Opowiedziałem mu mój sen, słuchał smutnie i milczał. Wkrótce otworzyły się drzwi baraku i stanął w nich „zakluczonyj” Rosjanin, który pracował w „biurze” kolonii na zmianie nocnej jako telegrafista a mieszkał w naszym baraku. Oznajmił on nam, że otrzymał w nocy bardzo ważny telegram dotyczący „Polaczków” i że wszyscy Polacy po porannej zbiórce zostaną w obozie. Tak się stało, powiedzieli nam, że z powodu wojny z faszystami niemieckimi, władza sowiecka podpisała umowę z Polakami i wojsko polskie będzie formułowane w Związku Sowieckim. Na drugi dzień zajechały ciężarówki i zabrały wszystkich Polaków do kolonii przejściowej, około 60 kilometrów na południe.

I faktycznie, przez pewien czas zwalniali Polaków, szło to jednak coraz wolniej, aż wreszcie z końcem października, tych którzy pozostali odstawiono z powrotem do łagru. Zaczęliśmy się domagać wyjaśnienia. Po kilku dniach zrobiono ogólną zbiórkę i oficer NKWD oznajmił nam brutalnie, że ci którzy byli warci zwolnienia już wyjechali, was zawrócono byście tu „podochli”. Szok był ogromny, w przeciągu krótkiego czasu wielu ludzi załamało się. Z początkiem grudnia skupiono nas w dwóch barakach i wytworzyła się sytuacja wyczekiwaną na najgorsze.

Przyszła wigilia Bożego Narodzenia, chciałem wieczorem podzielić się okruszem chleba, jak opłatkiem, z moim bliskim kolegą z Kleparowa. Niestety, jego reakcja była inna, myślałem, że dostanie ataku szału, był zupełnie załamany. Zawołałem, aby się uspokoił i powiedziałem, nie wierząc we własne słowa, że już jutro mogą otworzyć się drzwi baraku i wywołają nasze „bukwy”, a za kilka dni będziemy w drodze do wojska polskiego. Jak się okazało, były to dziwnie prorocze słowa, wywołano nas w dzień Bożego Narodzenia i z końcem miesiąca byliśmy już w drodze na zachód.

Zwolnienie nastąpiło w krytycznej chwili, morzeni długotrwałym głodem i załamani moralnie wykończylibyśmy się w przeciągu kilku tygodni. Ciało nasze zaczynały puchnąć, nogi nasze były pokryte wrzodami szkorbutu, trapiła nas ciągła gorączka i gryzły wszy. I oto teraz musieliśmy się zdobyć na ogromny wysiłek pokonania wielu tysięcy kilometrów, pośrodku syberyjskiej zimy, w łąchmanach łągiernych, w codziennej walce o zdobycie czegoś do jedzenia. A jednak jakaś przedziwna moc wstąpiła w nasze wycieńczone ciała, która gnała nas na zachód z jakąś fatalną siłą dążącą do wypełnienia wymarzonego celu.

Dowiedzieliśmy się, już po wstąpieniu do wojska, że zawdzięczaliśmy wolność tym współwięźniom, których zwolniono przed nami i którzy podali nasze nazwiska polskim placówkom wojskowym. Po czterech dniach dotarliśmy

do Irkucka. Zatrzymano tam pociąg na kilka godzin bez wyjaśnienia przyczyn. Opuszczając wagon zauważyłem, że na dalekim torze tej olbrzymiej stacji, stał długi pociąg złożony z otwartych lor. Odnieśliśmy wrażenie, że na lorach siedzieli jeden za drugim ludzie. Postanowiliśmy zbliżyć się do pociągu i rzeczywiście, na przynajmniej 30 lorach znajdowały się skostniałe ciała setek żołnierzy, chyba jeńców wojennych, ubranych, tak nam się wydawało, w błękitne mundury. Nie wykluczone jednak, że mundury były innego koloru pokryte powłoką silnego mrozu. Temperatura była chyba blisko 40 stopni poniżej zera, ale niebo było bezchmurne i słoneczne.

Wyszliśmy na miasto a potem przez most na jeziorze Bałkaj przedostaliśmy się do starego Irkucka. Podobało nam się tutaj, stare drewniane domy były malownicze, byliśmy również bardzo głodni. Ulice były puste, ale wkrótce zbliżył się ku nam zachlany Rosjanin i zapytał pijanym głosem: Prykuryt? Mieliśmy niewielkie ilości machorki, którą zafasowaliśmy razem z bochenkiem chleba, 100 gram cukru i trochę rubli przed opuszczeniem łagru. Obaj nie paliliśmy. Daliśmy „naszemu” Rosjaninowi szczyptę machorki. Wsypał do „trupki” zrobionej z „Prawdy” i zaciągnął się z widoczną rozkoszą. Potem zmierzył nas wzrokiem, zgadł natychmiast, że wracaliśmy z łagrów (po raz pierwszy usłyszeliśmy z jego ust to, co powtarzano nam w innych miejscach, że społeczeństwo sowieckie dzieli się na trzy grupy: na tych co byli w łagrach, na tych co są w łagrach i na tych, co będą w łagrach), zapytał co robimy w Irkucku. Odpowiedzieliśmy, że jedziemy na zachód, by wstąpić do polskiego wojska i jesteśmy głodni. Zaśmiał się z politowaniem, nazwał nas „durakami” i poradził, abyśmy zapukali do tylnych drzwi pobliskiej restauracji „komsomolskiej”, powiedzieli „zawieduszczej”, że jedziemy do wojska i że jesteśmy głodni.

Zrobiliśmy tak, jak radził – „zawieduszcza” demonstracyjnie zaprowadziła nas do ostatniego stolika długiej, w kształcie podkowy, sali restauracyjnej i przysłała do nas kelnerkę, która podała nam spis potraw. Powiedziałem, aby zaczynała od góry a kończyła u dołu – nie oponowała. Czekaając na pierwsze danie, zobaczyłem w wiszącym naprzeciw lustrze odbitą sylwetkę i zapytałem Artura, czy to ja – potwierdził. Po raz pierwszy od 22 miesięcy zobaczyłem siebie w lustrze i nie poznałem. Zjedliśmy wszystkie potrawy bez trudu a na zakończenie tej biesiady napiliśmy się po kieliszku wódki i szklance gorącej herbaty. Chcieliśmy zapłacić, mieliśmy przecież ruble, za które nic nie można było kupić. Kelnerka jednak odpowiedziała, że na zlecenie „zawieduszczej” zapłata się nie należy. W drodze powrotnej do stacji kolejowej powiedziałem, że jakaś cudowna opieka jest roztoczona nad nami. Artur nie odpowiedział, czułem, że brakowało mu słów.

Stosując tę samą metodę nie głodowaliśmy na całej przestrzeni jazdy od Irkucka aż do Semipałatyńska, gdzie zgłosiliśmy się do polskiej placówki wojskowej. Niestety z transportem do Kujbyszewa było bardzo trudno. Czekaliśmy w Semipałatyńsku przez dwa tygodnie, w międzyczasie wielu ludzi zmarło na epidemię tyfusu. Z końcem stycznia byłem już żołnierzem 6-go Dywizyjnego Batalionu Strzeleckiego „Dzieci Lwowskich”. Cud się spełnił, wydobyłem się z dna przepaści, byłem wśród swoich, zaczynałem zupełnie nowy okres mego życia, wolno wracałem do równowagi.

Jakże przedziwne i nieprzewidziane są wyroki Boskie.

*Tadeusz Trościanko*

\*

Wspomnienia Tadeusza Trościanki otrzymaliśmy od Pani Malwiny Schwieters z Nowej Zelandii. Ona też przysłała tekst, którym nad mogiłą pożegnała Go w sierpniu 1999 roku. Powiedziała wówczas:

„Pożegnaliśmy na zawsze, tj. pogrążona w smutku rodzina (żona, dwie córki, zięć, dwoje wnucząt) i grono przyjaciół oraz znajomych – Tadzika Trościankę. Mszę św. i obrzędy pogrzebowe odprawił wieloletni ks. Stanisław Wrona T.Chr. Tadeusz Stefan Trościanka urodził się we Lwowie w grudniu 1920 r. Nie wywodził się z rodziny zamożnej, ale też nikt w rodzinie nie głodował. Tadzik był jednym z pięciorga dzieci. Młodość płynęła mu szczęśliwie w tym pięknym i szczególnym mieście, którego jedną z charakterystycznych cech był humor i dobroduszość jego mieszkańców. Podobnie jak wielu jego rówieśników, był zapalonym członkiem jednej z drużyn piłkarskich Lwowa. Jako maturzysta aresztowany przez sowietów we Lwowie w 1939 r., po pewnym czasie pobytu w więzieniu, został wywieziony w głąb Rosji i osadzony w jednym z tamtejszych łagrów. Zwolniony z łagru w 1941 r. po rozpoczęciu niemiecko-sowieckiej wojny i układzie Sikorski-Majski, wybrał drogę na południe ZSRR do Uzbekistanu, gdzie formowała się Armia Polska pod dowództwem generała W. Andersa. Razem z nią opuścił ZSRR. Przystosowanie wojskowe odbył na Środkowym Wschodzie. W kampanii włoskiej w randze porucznika dowodził czołgiem. Po demobilizacji w Anglii w 1947 r. Tadzik Trościanka decyduje się na tymczasowe pozostanie na Zachodzie. Dowiaduje się również o śmierci ojca w 1943 r. oraz o fakcie, że matka i siostry zmuszone przez rozwój wypadków opuściły umiłowane miasto.

W 1949 r. Tadzik poślubia Angielkę pannę Doreen Watts. Cztery lata później państwo Trościanka emigrują do Nowej Zelandii. Osiedlają się w miasteczku Huntly, gdzie Tadzik dostaje zatrudnienie na poczcie. W międzyczasie przychodzą na świat dwie córki. W 1958 r. pp. Trościanka przenoszą się do Auckland. Tu Tadzik otrzymuje stanowisko kierownika urzędu pocztowego w dzielnicy Bucklands Beach i piastuje je do czasu przejścia na emeryturę.

W Auckland Tadzik nawiązuje kontakt z miejscową Polonią i od tego czasu udziela się i pracuje społecznie do chwili kompletnej utraty zdrowia. Tadzik był osobą bardzo energiczną, czynną, skromną i koleżeńską. Głęboko wierzący, kochał swoją rodzinę i całym sercem Ojczyznę, a w niej jedyne w świecie dla każdego lwowiaka miasto – miasto Lwów. Ci z nas, którzy znali Tadzika od wielu lat, pamiętają te lwowskie wieczory lub popołudnia organizowane wraz z innymi byłymi mieszkańcami Lwowa, których wichry wojny zagnały aż do Auckland oraz ich występy w innych miastach Nowej Zelandii a nawet w Australii. Pamiętamy te wszystkie obchody rocznic świąt narodowych, w których nie obeszło się bez wspomnień tego miasta – *Semper Fidelis*..

Gdy w 1983 r. powstawała w Nowej Zelandii Organizacja Solidarność w N.Z., której celem była solidarność z ruchem SOLIDARNOSCI w Polsce, Tadzikowi została powierzona funkcja prezesa i tylko śmierć położyła jej kres. Działalność tej organizacji była znaczna, biorąc pod uwagę liczbę jej członków i środków, którymi dysponowali. Sterowała nią niezłomna wola, wysiłek i bezkompromisowość Tadzika Trościanki we wszystkim, co dotyczyło dobra polskiej sprawy.

Żegnaj Tadziu, niech Ci ta garstka Lwowskiej Ziemi, którą córka Wandzia wysypała na Twoją trumnę, ulży na zawsze tęsknocie i światłość wiekuista niechaj Cię ogarnie. Oręduj nam – wciąż jeszcze na ziemskim padole”.

*Malwina Schwieters (Nowa Zelandia)*

